ROK I. **WARSZAWA,**

Nr 41. **Dnia 1/13 Października 1866 r.**



PISMO NIEDZIELNE
DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

W WARSZAWIE:	NA PROWINCYI W KRÓLESTWIE:	W CESARSTWIE:
Rocznie . . rs. 1 k. 80 (Złp. 12).	Rocznie . . rs. 2 k. 42 (Złp. 16 g. 4).	Rocznie (z kopertą) rs. 4 k. 42 (Złp. 29 gr. 14).
Półrocznie . „ — „ 90 (Złp. 6).	Półrocznie . „ 1 „ 21 (Złp. 8 g. 2).	Rocznie (bez koperty) rs. 2 k. 42 (Złp. 16 gr. 4).
Kwartalnie. „ — „ 45 (Złp. 3).	Kwartalnie . „ — „ 60½ (Złp. 4 g. 1).	Półrocznie, połowa tegoż.

Prenumerować można Zorzę: w Warszawie w Redakcyi Nr. 1582 lit. D. ulica Aleje Jerozolimskie, w Drukarni K. Kowalewskiego przy ulicy Królewskiéj i we wszystkich Kantorach Gazet; a na prowincyi w Królestwie po Stacyach pocztowych.

Treść: — Złe narowy ludu naszego przez S*; — Pan Tadeusz człek nielada, (wiersz) J. Gr; — Podróże; — (ludożercy); Nowy wynalazek; Poznanie letargu; — Różne różności; — Staropolskie przysłowia; — Zagadka.

O ZŁYCH NAWYKNIENIACH LUDU NASZEGO.

KURNE CHATY — PRÓŻNOWANIE — WSTYD PRACY — ZAZDROŚĆ.

Nie same religijne zboczenia i przesądy budziły uwagę księdza Świętosława i raniły jego serce. Stanąwszy pośród ludu swéj parafii poraz pierwszy zabolał wielce, widząc do około ślady straszliwéj nędzy, a przytem niechlujstwo nieład, głupotę.

Z obowiązku swego pasterskiego nawiedzając domy parafian, lub wchodząc do chorego, zrażał się dobry ten pasterz samem odwiecznem urządzeniem chałup wiejskich w niektórych stronach naszego kraju. Jakoż poprobój wejść do téj chaty, ale nie wejdziesz, bo wchodzącego tam, na progu zaraz zatrzyma cię chmura dymu; zajrzyj do wnętrza, nic nie dojrzysz, bo oko twe nie przebije gęstéj mgły tego obłoku; kurna chata, to minionych czasów ciemnoty ostatni zabytek materjalny, bo moralnych nie mało jest jeszcze. Przetrwał on wieki i wieki jeszcze trwać będzie, kiedy dziś nawet po oczynszowaniu i uwłaszczeniu taką ma jeszcze siłę w starym zwyczaju (*).

A kiedyś przezwyciężył siebie i odważył się próg takiéj chaty przekroczyć, znajdziesz w niéj ludzi pochylonych, bo tak się tam chodzi dla gęstego dymu w górze; znajdziesz niewiasty zadymione i zakopciałe, dzieci blade na twarzach, czerwone w oczach, boć to są przypadłości tego ustawicznego w tem powietrzu wędzenia. Co gorsza, znajdziesz ludzi, niedawno czynszowników dostatnich, dziś właścicieli nieraz zamożnych, a tymczasem w ich domu w każdym ką-

(*) Ze zwykłym talentem chatę taką opisał Kraszewski w powieści: *Ulana.*

cie świeci się blada nędza; odzież na nich czarna, niekiedy wiszą łachmany; sprzęt domowy ubogi, łoże garść barłogu pokrywa, a na niém gęściéj się spotyka ubogiego łazarza niż dostatniego osadnika; znajdziesz, co gorsza, niekiedy cielę lub krowę na uwięzi stojącą przez całą zimę.

Widok taki przeraża i smutkiem przepełnia serce. Niejeden, sądząc z powierzchowności, boleje i na srogie ciemięztwo wrzeszczy całą gębą. Nie ma go dziś, Bogu dzięki, i w wielu miejscach nie było go od lat wielu i wielu, a tymczasem znajdziesz tam jeszcze to wszystko, i kurną chatę i wynędzniałe twarze jéj mieszkańców i dzieci obdarte, i czarną odzież, jednem słowem znajdziesz skończony obraz nędzy i ubóstwa; znajdziesz ludzi pomięszanych i razem żyjących z bydlętami, a niekiedy niestety! są oni jak bydlęta bez czucia, rozumu i jakiegoś wyższego zapragnienia. Ale o ich biedzie nie sądź z pozoru; niejeden taki chłopek zbiera duże pieniędze, ma już tysiące, ale dobrze je chowa przed ludźmi, czasem się i przed żoną nie zwierzy, zakopuje w ziemie gdzieś pod przycieś, niekiedy umrze, nikomu, nawet kapłanowi przy ostatniéj spowiedzi zwierzyć się nie chcąc. J tak zbiór jego cały przepada.

Ale, mimo nie wiem jakich zbiorów i dostatków, siermięgi on nie zrzuci, dziecka do szkoły o próg nie wyśle, sam dla siebie nic nie zapragnie.

Powie kto może, że w tem jest mądrość prawdziwa i chrześciańskie zaparcie; że im kto ma mniéj potrzeb, tem jest szczęśliwszy; im kto więcéj ogranicza swoje zapragnienia i żądze, tem mu na ziemi raźniéj i swobodniéj.

Niewątpliwie byłoby się czem budować, gdyby tam dopatrzyć można życia i ducha; gdyby w tem nie przebijało się grube nieukształcenie, samolubne i zwierzęce popędy.

Bolał więc i cierpiał ksiądz Świętosław niemało i przemyśliwał nad sposobami otworzenia oczu ciemnemu temu ludowi.

Ile razy wspomniał im o przebudowaniu pieców w chałupach i wystawieniu kominów, zawsze mu odpowiadali, że ich ojcowie i dziadowie tak mięszkali i było im dobrze, to i oni tak mięszkać będą, a tém bardziéj, że po wypaleniu, mimo że kurna chata przechodzi dymem, przecież jest ciepła i dla dzieci zwłaszcza wygodna, które na wielkim trzonie dzień cały wylegać się mogą.

Na niewielu zamożnych mieszkańców wpływał jednak o tyle, że ci swe chaty kurne przestawili na jasne. Zapowiedział jednak, iż jeżeliby się kto stawiał na nowo, takiemu kurnéj chaty, jeżeliby taką wystawił, poświęcać nie będzie. Nowe domy wszystkie już stawiano z kominami.

Gdy zaś nieszczęście się zdarzyło, że z kurnéj chaty zapuszczony ogień wielki rozniecił pożar i wiele chat zgorzało, to tym sposobem w niedługim czasie wieś ta oddawna oczynszowana i zamożna porządnie się postawiła, a wszędzie przez czyste, i obszerne okna przeświecał w domu porządek, i ochędóstwo.

Usunąwszy główną przyczynę złego, dymne i ciemne mieszkania, łatwo przyszło już i reszty dokonać. Jak się ludzie w jasności dnia przyjrzyć sobie mogli, to już każdy musiał się w dzień i wymyć czystą wodą i chędogą mieć odzież na sobie, żeby się przed drugimi nie wstydził.

Dokonał téj odmiany ksiądz Świętosław przez niewiasty. Wmówił im i słusznie, że czystość i ochędostwo domu i dziatwy i wszystkich od kobiet zawisło. Gdzie kobieta porządna i pilna gospodyni, tam codzień dom umieciony, łóżko posłane, dzieci wymyte i czysto ubrane, wszyscy i ona sama czystą mają odzież. Za niechlujstwa i nieporządek w domu kobieta odpowiada.

I w kościele i przed kościołem ksiądz Świętosław pilnie spoglądał po dzieciach i starszych, czy w święto świeżą i czystą mają bieliznę. Niekiedy w kościele zaraz, niekiedy przed kościołem publicznie o to strofował; do spowiedzi i stołu Pańskiego nie przypuścił nawet w dzień powszedni, ktoby nie był czysto wymyty i w świeżą bieliznę przybrany. *Choćby ubogo byle chędogo*, wołał na nich; wody wam nie brak, rąk więc gospodynie nie żałujcie, żeby mąż i dzieci i czeladka czystą mieli odzież.

Wchodził niekiedy do domów, a wielki wstyd był dla gospodyni i surowe lubo ojcowskie upomnienie, jeźli co znalazł godnego przygany.

Ggy tak pilnie ksiądź Swiętosław wykorzenia z pośród ludu swéj parafii stare nawyknienia, a szczepi dobre i chrześciańskie zwyczaje i obyczaje, dostrzegać począł, że przy lepszem mieniu krzewić się zaczynało próżniactwo i lekceważenie swoich powinności.

Po wsiach naszych wyradza się to bardzo łatwo; nie masz tam jeszcze tłumu żebraków i ludzi,

którzy wstając nie wiedzą, jak i czem dzień boży przeżyją. Łatwo tam jeszcze każdemu kęs chleba przychodzi; a gdy nie zna troski o komorne, gdy mało ma potrzeb i na nędznéj poprzestaje strawie, mało myśli o pracy, a z każdéj okazyjki próżnowania korzysta.

Któż zaś nie wié, jako tych okazyi do próżnowania i roskosznego pijaństwu bywa wiele po wioskach naszych? Nie przejdzie tydzień, żeby nie było radosnego lub smutnego obrzędu; sąsiada chrzciny; u kmotra wesele; krewniakowi, a czasem komu z bliskich trzeba oddać ostatnią religijną posługę i odprowadzić go na cmentarz; a są uroczystości, jakie przez kilka dni trwają, czasem przeciągają się przez cały tydzień, jakże się tu nie zabawić, dziś zwłaszcza, gdy nie ma ekonoma lub włódarza, któryby wołał na pańskie.

I tak ludowina świętuje i świętuje, nietylko w niedzielę, ale i we dnie powszednie, przez tygodnie całe. W końcu łatwo pomiędzy nimi szerzą się i fałszywe uprzedzenia, które ich od pracy odwodzą, tem więcéj gdy tak słodkie jest z saméj natury to *próżnowanie*.

Dnia jednego ksiądz Świętosław odprawiwszy nabożeństwo w kościele, szedł spiesznie na pole do swego gospodarstwa. We wsi na drodze spotyka gromadę gospodarzy, wprawdzie nie pijanych lecz dosyć wesoło gwarzących i śmiejących się głośno.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, rzeknie pleban.

— Na wieki wieków, Amen, odpowiedzieli włościanie, zdejmując czapki i kłaniając się swojemu pasterzowi.

— Cóż tak radzicie, moi mili gospodarze, jakoś wesoło wam czas schodzi, i wesołe wasze oblicza? powie kapłan.

— Tak, dobrodzieju, odpowie najstarszy gospodarz, czegożbyśmy się smucić mieli. Dał ci Pan Bóg chlebusia dostatek, obrządziliśmy się już na polu, i prawie nic nam do roboty nie zostało, to tak wyszedłszy przed sień to ten, to ów przyszedł i stanął, i gwarzy się to o tem, to o owém.

— Z pewne nic złego, moi ludzie, pogwarzyć czaasem z sąsiadem, a choćby się i czemś wesołem podzielić, rzeknie pleban, aleć, widzicie, czas roboczy, dzień piękny, toby go szkoda było tak cały zmarnować. Wszystko odzyskać można, moi ludzie, ale czasu zmarnowanego jednéj chwili za całe skarby świata nie kupisz.

— To prawda, mój dobrodzieju, powié poważny Wojciech; aleć u siebie nie mamy pilnéj roboty, to po cóż tam tak zabiegać mamy.

— Być może, rzeknie ksiądz pleban, że u siebie nie macie pilnéj już roboty, boć mając nie wiele, łatwo wam się wcześnie uprzątnąć, aleć jest robota we dworze, byłaby i u mnie, toćby się godziło, żebyście poszli z pomocą swoim sąsiadom, a i sobie coś na sól lub podatek zarobili.

— Bywało tak niegdyś, powie młody wyrostek, lubo już gospodarz, Maciek, ale dzisiaj, kiedy nie ma pańszczyzny, toć sobie i odpocząć trzeba i zbyć z głowy kłopotu.

— Źle mówisz, Macieju, przerwie mu kapłan, bo możeby był on jeszcze jakie większe głupstwo powiedział; zawsze człowiek pracować winien. Do pracy stworzył Pan Bóg człowieka, praca ta nie tylko nie wątli go ani osłabia, ale nowe w nim budzi siły i ochotę. Nie idź ty, Macieju, dziś i jutro i drugi tydzień, to na trzeci tydzień i sobie robić przestaniesz, a będziesz wyciągał się to na słońcu, to wystawał pod ścianami, to przy robocie w tę i w owę stronę poglądał, aż tu za próżniactwem w te pędy przyjdzie nędza, głód i choroba. Nie praca więc zabije cię i twoje dzieci i twój dostatek zabierze, lecz próżnowanie.

— Święte słowa dobrodzieja, rzeknie poważny Wojciech, toć tak kiedyby dobrodziej patrzał i znał wszystkich ludzi na świecie. Toć ja pamiętam, mój dobrodzieju, że i za pańszczyzny, który był pilny i pracowity gospodarz, to wnet dorobił się chleba i miał go dostatek; który zaś był leniwy i ospaluch, to ani dwór miał z niego pociechę, ani sam sobie zdążył wszystko zrobić na czas.

— Tak bywało, moi ludzie i tak będzie, odpowie pleban; z próżnowania wszystko złe pochodzi między ludźmi, praca zaś żywi i zbogaca ludzi i narody całe. Gdybyś nie potrzebował dla siebie, to dla drugich pracować powinieneś.

— Kiedy to tam, dobrodzieju, odkąd ustała pańszczyzna, odezwie się inny gospodarz Walenty, to powiadają ludzie, że wstyd jest, aby czynszownik chodził na najem.

— Źle, moi gospodarze, odrzeknie pleban, że takie fałszywe wstydy pomiędzy wami upowszechniać się zaczynają. Wstyd jest tylko źle robić; nie ma zaś roboty uczciwéj, coby hańbiła człowieka.

— Juźcić tam, mój dobrodzieju, powie Walenty, Bogiem a prawdą, to podobno nie ma na świecie niższego położenia, jako chłopa; dziś dzięki Bogu! nie gonią nas na pańskie, jednak w pocie czoła zarówno z wołem i koniem na chleb pracować musimy.

— Powiedz że mi, mój Walenty, rzeknie pleban, kto też na świecie jest, ktoby nie pracował?

— Juźcić tam, mój dobrodzieju, odpowie Walenty, dosyć jest ludzi, którzy nie pracują, a dobrze jedzą i piją.

— To chyba ty jeden, Walenty, znasz takich ludzi, odrzeknie ksiądz pleban, którzy nie prakują, a dobrzejedzą i piją, bo ja dotychczas nikogo nie widziałem i nie znam nikogo takiego.

— Toć, mój dobrodzieju, powie Maciéj, daleko szukać nie trzeba, a czyż pan nasz dziedzic pracuje lub robi co; wyjedzie sobie na pole, na koniu, a potem wraca do domu i o niczem nie myśli.

— O, moi mili gospodarze, odpowie kapłan, nie zazdrośćcie szczęścia, jakie wam się tak zdaleka wydaje, waszym panom. Im kto ma więcéj i wyżéj postawiony, tam ma więcéj kłopotów i udręczeń. Nie pracuje niejeden rękoma, jak ty się przez dzień cały upracujesz; lecz pracuje za to głową, frasunkiem, kłopotami wiekszemi, a podczas gdy ty dobrze zasypiasz sobie i chrapisz na sianie w stodole, on w pokojach i na piernatach całą noc czasem nie spi, a przemyśliwa, jakby wszystkim swoim obowiązkom podołał. Ty masz jednego lub dwoje czeladzi, a jak ci przyjdzie wypłacić mu to na obuwie, to na ubranie, to na zasługi, a jak jeszcze przychodzi czynsz lub podatek, to się nieraz i dobrze w głowę drapiesz i przemyśliwasz, zkądby zrobić grosza, żeby to poopłacać. Porachuj teraz tyle czeladzi dworskiéj, tyle gawiedzi, tyle najemników, tyle podatków, a tu każdemu trzeba rzetelnie wypłacić, bobyś i ty już sam drugi raz na najem nie przyszedł, żaden znów we dworze nierzetelnym służyćby nie chciał; a dowiesz się, jak to nieraz pana głowa boli i ciężko on pracuje, i niejednéj nie dośpi nocy.

— Prawda, mój dobrodzieju, i święta prawda, powie Wojciech, tak się to tam ludowinie widzi, że kto rękami ciężko nie pracuje, to już szczęśliwy.

— To zaś, moi ludzie, odpowie kapłan, czy taka praca, czy owaka, byle uczciwa, nigdy nie hańbi nikogo i wstydzić się jéj nie trzeba. Zarówno chłopek w sukmanie, jak pan w kontuszu, a ksiądz w sutannie znajdą poszanowanie u ludzi, byle się niczem podłem nie shańbili.

— Prawda, mój dobrodzieju; powie sędziwy Wojciech; łońskiego roku na odpuście, tośmy księdza z Najświętszym Sakramentem podczas processyi prowadzili razem, ja w sukmanie i nasz dziedzic, a panienki, córki dziedzica, to rzucały kwiaty, którędy szła processya.

— Tak jest, moi ludzie, powie ksiądz Świętosław, były czasy, ale to już dawno temu, że ludzi sprzedawano i kupowano jako bydło jakie na targu; i dziś to się praktykuje u Turka i między poganami, gdzie nauka Chrystusa Boga i Zbawiciela naszego jest jeszcze nieznana. Pomiędzy zaś chrześcianami, lubo są słudzy i panowie, kmiotkowie i dziedzice, bogatsi i ubożsi, atoli wszyscy są sobie bracią, bo wszyscy jednakowo mówią w pacierzu do Boga: *Ojcze nasz, któryś jest w niebie*!

— Zawsze jednak, mój dobrodzieju, powie Maciej, lepiéj być bogatym niż ubogim, i więcéj pana niż sługę cenią; więcéj wat dziedzic, niżeli chłop.

— Prawda, mój Macieju, powie kapłan, że lepiéj być panem niż sługą; ale uważ sam, czy sługa, jeżeli wierny i poczciwy, nie ma tego samego poszanowania pomiędzy ludźmi, co i pan jego? Nie posadzą go wprawdzie w pokojach, bo tamby znaleźć się nie mógł, i więcéj by mu to frasunku robiło niż przyjemności. Wy macie swoje rozmowy, swoje towarzystwo i w niem wam najraźniéj; panowie mają swoje; a jak nikogo nie zaleca suknia, ale poczciwość, tak też nikogo stan jego nie hańbi.

Że lepiéj być bogatym niż ubogim i to prawda. Ale cóż to jest bogactwo! Ty, gdybyś miał sto rubli, miałbyś się za bogatego; tamten ma tysiąc i jeszcze mu mało, bo ma większe potrzeby i wydatki, a ztąd i frasunku więcéj.

Komu zaś więcéj dano, więcéj od niego wymagają, i Pan Bóg większy z nim będzie miał porachunek.

— Tak mój dobrodzieju, powie sądziwy Wojciech, nigdy nie ma czego ludziom bogatszym zazdrościć. Lepsza nieraz nasza bieda poczciwa, niż ich bogactwo. Pamiętam, jak to nam już dawno dobrodziej mówił ów krótki wierszyk naszego śpiewaka z Czarnego Lasu, niedaleko od nas, z pod Zwolenia, Jana Kochanowskiego:

Ten pan, zdaniem mojem,
Kto przestał na swojem.

— Dobrze! zacny i poczciwy Wojciechu, powie ksiądz pleban, żeście mię poparli waszem słowem, bo widzę, że z tymi młodymi gospodarzami trudna jest sprawa. Imby się wszystkim chciało być panami, a jakby nie było, ktoby rolę zasiał i chleba przygotował, toćby z głodu przy państwie umierać trzeba było.

Przypominało mi się jedno prawdziwa zdarzenie, które wam pokrótce opowiem w następującym numerze tego Pisma.

Ten Pan Tomasz człek nielada!

PRZYPOWIASTKA.

Ten pan Tomasz człek nielada!
Rad o sobie dużo gada:
„Wy nie wiecie, nic nie wiecie,
Com ja niegdyś znaczył w świecie!
Jakie miałem obstalunki,
Jaką placę, podarunki!
Więcéj mebli miałem w sieni
Niż *Stolarze-Zjednoczeni*
Razem mają w swym warsztacie,—
Takim byłem, wiesz ty, bracie!“

*
* *

Ten pan Tomasz człek nielada!
Dziś językiem lepiéj włada
Niżli heblem,— znać ma racyę:
Robi same reparacje!
Obstalunków mu nie dajcie,
Ale czemu? Ha! czekajcie,—
Oto wieczór.— Spojrzcie jéno:
Co dzień chodzi na domino;
A jak wraca, to po głowie
Państwo chodzi jakby mrowie.

*
* *

Fuka głośno, świat go gniewa;
To wykrzyknie, to zaśpiewa,
Bok podeprze, taka mina
—Héj, zawracaj od komina!
Toż zawraca w prawo, w lewo,
Palnie nosem w płot, o drzewo,
A przy domu jeszcze gorzéj:
Bo gdy żona nie otworzy
W skok, to szyba z brzękiem padnie,—
Tak pan Tomasz wraca ładnie!

*
* *

Ten pan Tomasz— człek nielada!
Gdy tak do dom z fukiem wpada,—
Stół przewraca, stołki łamie.
Trzask! brzęk! jakby w czartów kramie.
Potem w lichéj surducinie
O dwunastéj śpi godzinie.
Przed południem jutro wstaje,—
W gardle pali, żonę łaje;
Lecz skończona waryjacja
Bo się trafia reparacja!

*
* *

Ten pan Tomasz— człek nie lada!
Reparacja nic nienada:
Człek partoła zawsze goły,
Bo nie wzywa nikt partoły.
A tu trza iść na domino!
Więc się podjął z dobrą miną
Nosić pisma i gazety.
Gdy grosz zajrzał do kalety,
Usnął w rowie, bo się spił!
Daléj, nie wiem, z czego żył?

J. Gr.

WYJĄTKI Z PODRÓŻY

LUDOŻERCY NA WYSPACH OCEANII.

W roku 1859 pewien kapitan francuzkiego okrętu kupieckiego pod nazwą „Święty Paweł“ wyjechał z miasta chińskiego Hong-Kong, mając na pokładzie swego statku dwudziestu majtków i trzystu siedmnastu Chińczyków zamówionych do kopania złota w Australii czyli Oceanii. Podróż to była bardzo daleka, a przytem i niebezpieczna, bo kapitan chcąc prędzéj dostać się na miejsce, do portu Sydnéj, obrał sobie krótszą wprawdzie, ale prawie nieznaną drogę. Niebezpieczeństwo to nastąpiło bardzo prędko, bo trzeciego dnia nocą, śród mgły statek osiadł na mieliznie pomiędzy wyspami zwanemi Melanezyjskiemi, pośród bardzo niegościnnéj ziemi. Nadedniem statek pękł, a gdy słońce zajaśniało, poznali smutni żeglarze, że znajdują się na

ogromnéj koralowéj ławie w odległości paru wiorst od górzystéj wyspy pokrytéj drzewami i zapewnie zamieszkałéj przez ludzi. Rozbitki woleliby raczéj ich tam nie spotkać; bo dzikie zwierzęta: lwy, tygrysy mniejby dla nich były niebezpiecznemi niż ludzie w tych dzikich stronach.

Statek tymczasem kołysany falami morza, zwolna tonąć zaczął; na szczęście woda w tém miejscu nie była głęboka, tak że biedni żeglarze mogli się dostać w bród do małéj wysepki, którą nieopodal widzieli. Zdołano zaledwie z okrętu wyratować kilka beczek zamoczonéj mąki, nieco solonego mięsa i kilka skrzyneczek przechowanych owoców, — i to wszystko na małą wysepkę zwieźli łodziami, które zazwyczaj znajdują się przy okrętach kupieckich; ale brakło im zupełnie słodkiéj wody do picia.

Z owéj małéj wysepki popłynął kapitan w towarzystwie kilku ludzi ku owéj widzianéj w dali większéj wyspie, a która nazywa się Rossel, i wybrał tam miejsce na obozowisko nad brzegiem strumienia w pobliżu morza i naprzeciwko owéj małéj wysepki. Jak się spodziewano, znaleźli się tu mieszkańcy czarni, obrzydliwi, nadzy, dzicy, ale przy pierwszém spotkaniu bojaźliwi, co było bardzo dogodnem dla kapitana i jego towarzyszów. Powiemy tu o nich słów kilka, tak jak ich ów kapitan późniéj opisał.

Mieszkają ci Rosselczycy śród przecudnéj natury, między rzekami, bujnemi lasami i ogromnemi krzewami, na wyspie, któréj największa rozległość 12 mil dochodzi.

Wioski ich składają się z chat albo raczéj wielkich klatek z trzciny o jednych drzwiach i jedném oknie, opartych na słupach wysokich od ziemi przeszło na łokieć. Dachy wysunięte znacznie po za ściany również z cukrowéj trzciny i kokosowych liści zrobione także są podparte słupami na czterech rogach. Chaty te mają do 15 łokci w zdłuż, a 5 w szerz; wchodzi się do nich po drabinach do drzwi stale przymocowanych; drabiną zaś jést to kawał drzewa powyrębowany w niektórych miejscach, jak przy kobylicach u naszych traczów. W pośrodku znajduje się ognisko otoczone kamieniami. Drzwi i otwory wązkich okien mogą się otwierać i zamykać. W ogóle budowa tych domków dobrze jest obmyślona dla osłonięcia obrzydliwych mieszkańców od niezmiernie palących promieni słońca w lecie i wilgoci ziemi podczas tamtejszéj zimy. Za to jedyném narzędziem u Rosselczyków jest tylko rodzaj toporka zrobionego z kawałka twardego kamienia, bazaltu. Dzida, kamień, całą ich broń stanowią; zaś wojenne trąby są to wielkie kręcone konchy czyli muszle morskich ślimaków, a łódki ich czyli pirogi, robione są z jednéj sztuki drzewa wydrążonego, a dla równowagi w płynięciu opatrzone są ramami leżącemi na wodzie po obu stronach łodzi i przytwierdzone do niéj; statki więc tego rodzaju są nadzwyczaj wąskie, pewnie jak łódki naszych retmanów na Wiśle, długie zaś na cztery do pięciu łokci.

Z roślinnych włókien tamtejsi dzicy mieszkańcy wyrabiają koszyki i maty. Noże mają ze skorup ostryg czyli gatunku muszli morskich, zręcznie powiązanych i zazębionych.

Powierzchowność tych wyspiarzów jest odrażającą. Skórę mają czarną jakby pokrytą tłustością, nos spłaszczony, usta szerokie, oczy czarne wystające, włosy długie i kędzierzawe jak grochowina, brodę rzadką i podobnież kędzierzawą, czoło w tył zachylone; wzrost niewielki. Usta i dziąsła ich mają kolor gotowanego raka; zęby czarne i popsute. Twarze kobiet o rysach grubych, włosy takie same jak u mężczyzn, pierś wystająca. Eleganci malują sobie faworyty wapnem i przez nos przeciągają kość grubą jak gęsie pióro. Mężczyzni za cały ubiór mają tylko kieszeń z przodu wyrobioną z sitowia; kobiety noszą przepaskę spadającą do kolan. Wszyscy zaś lubią żuć orzechy palmowe z liśćmi pieprzowemi i wapnem. Na wyspie Rossel żyje kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców.

Ale wróćmy się do naszych rozbitków. Kiedy kapitan wybrał miejsce na obóz na wyspie Rossel, zostawił tam część swéj załogi i odpłynął do pozostałych na małéj wyspie. Mieszkańcy z wyspy Rossel z początku, jak powiedzieliśmy, okazywali obawę; dali nawet przybyłym kilka kokosowych orzechów, ktore będąc wielkie jak głowa małego dziecka, mają w sobie ciecz białą, bardzo słodką i smaczną. Ale nadedniem obóz został napadnięty przez liczną zgraję, uzbrojoną w dzidy i grube pałki, maczugi; znać z tego, że dzicy oswoili się stopniowo z białymi przybyszami, których taka mała garstka tam była; uradzili więc śmiało na nich napaść, aby ich zabrać a potem pożrzeć. Walka trwała niedługo; jedni z rozbi-

tków zostali pomordowani, innym udało się dostać wpław na małą wysepkę. Po obliczeniu się, ujrzano, iż brakuje ośmiu francuzkich marynarzy i pewnéj liczby Chińczyków. Czy zginęli ci ludzie, czy też ukryli się gdziekolwiek, tęgo od razu nie można było sprawdzić. Na nieszczęście nie było ludzi dla wysadzenia na brzeg wyspy liczniejszego oddziału, aby wyszukać zginionych; potem brakło zupełnie broni, gdyż uratowano z okrętu tylko kilka siekier i strzelb; nakoniec wszyscy Chińczycy byli przejęci okropnym przestrachem i zupełnie upadli na duchu.

(*Dokończenie nastąpi.*)

WAŻNIEJSZE ZDARZENIA.

Wynalazek nowego urządzenia wozów i wszelkich pojazdów.

W tych dniach nadesłane nam zostało, z życzeniem umieszczenia w Zorzy, następujące, tyczące się ulepszenia i rozwoju krajowego przemysłu:

Ogłoszenie.

„Obywatel miasta Warszawy, technik i mechanik, niegdyś uczeń Marymontu, wynalazł zupełnie nową konstrukcyę w jeździe pociągowéj za pomocą nader praktycznego, małego przyrządu.

Różnica między dotąd używanym przyrządem w pociągach a nowo wynalezionym zasadza się na tem:

że z użycia téj nowéj konstrukcyi *wielka* wyniknie *oszczędność rąk, materiału* i *wydatków*, zaś oprócz oszczędzenia czasu i kosztów to jeszcze:

że powozy, omnibusy, bryki, furgony i wszelkiego rodzaju wozy, jako też wagony na kolejach żelaznych wedle nowego przyrządu odznaczać się będą *równą* i *spokojną jazdą*, mimo najszybszego biegu, *trwałością* wiele przewyższającą najlepiéj dotąd urządzone wozy, zabespieczającą przytem bez względu na ciężar, *osie odłamania*, a *wagony do wykolejenia*, a z tąd i ochraniającą od wielu nieszęśliwych wypadków. Bruki i zwirówki (zosy,) które od wozów z ciężarami zbyt często ulegają zniszczeniu, przy zastosowaniu nowego przyrządu daleko mniéj *podlegać będą zepsuciu*, który to przyrząd prawie zabezpieczy także *bruki od zwykłego turkotu.*

Z tego nader praktycznego przyrządu będzie mógł korzystać nietylko jeżdżący powozem lecz i chłopek, przy bardzo małym koszcie; a nadmienia się jeszcze, że wynalazek ten stosować się da nietylko do nowych ale i do starych wozów.

Sądzić należy, iż które z Towarzystw Kolei Żélaznych lub ktoś z panów fabrykantów zechce korzystać z tego wynalazku i nabyć prawa jego; gdyby zaś nikt z krajowców nie postarał się o nabycie tegoż prawa na wyłączną swą własność i korzyść, to wynalazca zmuszonym zostanie do udania się za granicę dla zbycia swego wynalazku cudzoziemcom.“

Redakcya, umieszczając chętnie powyższe ogłoszenie, nadmienia, że za jéj pośrednictwem powziąść można bliższą wiadomość w przedmiocie nabycia tego wynalazku. Dodamy jeszcze, że wynalazek ten, o ile się okaże praktycznym, zastosowaćby się mógł do zamiaru, jak słychać, urządzenia wszelkich pojazdów i wozów w ten sposób, by koła do jednostajnéj po drogach kolei zastasowane były.

Sposób poznania śmierci pozornéj.

Już kilka razy w piśmie naszem podawaliśmy uwagi tyczące się *letargu* czyli *śmierci pozornéj.* Dobrzeby było, aby lekarze nasi raz już ogłosili w pismach sposób odróżnienia śmierci pozornéj od rzeczywistéj. Po wsiach lud zabobonny nieboszczykom, mającym twarz czerwoną, nasypuje w usta i nos maku i tém może na dobre ich udusić, jeśli leżą w letargu. Inni mówią, że dla przekonania się, czy nieboszczyk na dobre umarł, należy go ukłuć szpilką w piętę, jako w miejsce mające być nader czułem, przez co pozornie zmarły może się obudzić; a jeszcze inni twierdzą, że trzeba przyłożyć do ust zmarłego zwierciadło, na którém, jeśli tenże ma jeszcze zatajone życie, osiądzie para z nieznacznego oddychania. Obecnie zaś dowiadujemy się z pism, że francuzki lekarz Martinez de Cordoux (czytaj Martine de Kordu) podaje taki sposób odróżnienia śmierci rzeczywistéj od pozornéj: Należy koniec palca wielkiego u nogi przypiec płomieniem

zapałki stoczkowéj jako jednostajnym i trwalszym (sądzimy, że w braku takiéj zapałki możnaby użyć i świeczki); trzymać zaś należy płomień przez kilka tylko sekund tuż prawie przy skórze nogi. Powstanie ztąd niezadługo wyniosłość na naskórku, i kiedy pęcherzyk rozszerzy się dostatecznie, to pęka z głuchym trzaskiem i niekiedy płomień gasi. Utworzona więc przez ciepło w pęcherzyku para jest skutkiem zupełnéj martwoty, rozkładu ciała, i świadczy zarazem o obecności śmierci. „Jeśli ten środek, powiada ów lekarz, w wykonaniu łatwy, będzie przyjęty, to zyskamy jego tę przynajmniéj pewość, że istoty nam drogie rzeczywiście z życiem się rozstały.“

RÓŻNE RÓŻNOŚCI.

Familister. W Paryżu od lat sześciu istnieje zakład familijny, niby koszary, robotników tak zwany *Familister*, mieszczący się w wielkim budynku czworobocznym o trzech piętrach, we środku którego znajduje się podwórze rozległe na dziewięćset metrów kwadratowych i pokryte szklannym dachem. Z każdego piętra wychodzi na to podwórze ganek i okrąża je w koło. Z tych ganków są wchody do pomieszkań. Dom ten stoi w pobliżu ogromnéj kuźni zatrudniającéj ośmiuset wyrobników. Wystawił go niejaki p. Godin, niegdyś prosty wyrobnik, swym kosztem za milion przeszło franków.

Gmach, wynajęty bardzo tanio samym rodzinom wyrobniczym, przynosi właścicielowi rocznego zysku sześć od sta. W urządzeniu tego zakładu nie ma żadnego przymusu: kto chce, należy do spółki, kto nie chce, nie należy; oczywista, że każdy mieszkaniec zakładu ma tańsze mieszkanie i pożywianie, niż gdyby mieszkał osobno, bo koszta opłacają się ze wspólnéj kasy; można zatém hurtownie zakupować żywność na targach.

Najwięcéj przywabia do tego zakładu znajdująca się w nim szkoła. Ład i rozumne przepisy téj szkoły podziwiają Paryżanie. Kilkset dzieci pobiera początkowe nauki w familisterze. Poprzednio już podaliśmy opis innego podobnego Famisteru we Francyi.

— *Nasze panny*. Dla czego się teraz mężczyzni nie mają ochoty żenić? zapytał pan Piotr pana Jakóba.

— Oto dla tego, odparł p. Jakób, że teraźniejsze panny, jak polne lilije, nie przędą, nie tkają, nie szyją, a przecież piękniéj ubierają się niż niegdyś Salomon w swéj największéj okazałości.

Przytómny krawiec. Pewnemu młodzieńcowi krawiec zrobił dłuższą suknię z tyłu niż z przodu, a gdy młodzieniec krawcowi to wyrzucał; krawiec tak go uspokoił:

— Trzeba się schylić, mój panie, a suknia będzie zarówno w tyle i na przodzie długa.

— Tak, ale będą się ze mnie śmieli, gdy będę się wciąż schylał: powiedzą, żem garbaty? rzekł znowu młodzieniec.

— A czy to pan nie widzisz, mówił krawiec, że w takiéj sukni zawsze pracować a więc i schylać się potrzeba?

Staropolskie przysłowia.

Cierpliwość, najlepsze lekarstwo.

Z uczynku, nie z słów, dobrego poznają.

Ze złéj gęby nie dobra mowa; nie uczerpnąć z błota czystéj wody.

Najłatwiéj o przyczynę: kto rad krzywdę uczynić chciał, dla tego ją uczynił.

Nie majętność albo intrata czyni bogatym, ale rząd i umiejętny roschód.

ZAGADKA.

Co to jest?

Jest las gęsty, czyste pole,
Są dwie świeczki, dwa sobole,
Przytém trąba, mały wzgórek,
I chust białych ujrzysz sznurek;
Jest też łaźnia blisko wzgórza,
Pan *bełkowski* w niéj się nurza.

Znaczenie poprzedniéj Zagadki.— *Groch trzebiony, lecący z przetaka do garnka.*

Redaktor i Wydawca Józef Grajnert. — w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.